Nie chcę patrzeć, jak cierpisz — Maru

Cholerna burza.

Poruszające się w tę i we w tę wycieraczki piszczały cicho, jakby ze zmęczenia, walcząc bezowocnie z opadającą na przednią szybę kurtyną deszczu. Awaria prądu pogrążyła śpiące już przedmieście w gęstym jak smoła mroku, tylko gdzieniegdzie dostrzegałem – choć był to środek nocy – delikatną poświatę pozapalanych w mieszkaniach świec. Mimo długich świateł, poruszałem się niemalże na ślepo. Jechałem więc ostrożnie, nie za szybko.

No, może tylko trochę.

Dręczące mnie wcześniej wątpliwości rozpłynęły się w potężnych podmuchach wiatru, które łomotały w karoserię, bezlitośnie próbując zepchnąć niewielkie auto na chodnik. Rozsiadłem się w fotelu, zaciskając dłonie na kierownicy. Na myśl o czekającej mnie nocy wzdłuż mojego kręgosłupa spłynął przyjemny dreszcz podniecenia, by po chwili wstrząsnąć całym ciałem. Rozlegające się raz po raz grzmoty przyprawiały mnie o gęsią skórkę.

Zreflektowałem się i zmniejszyłem prędkość. *Na nic cały mój wysiłek, jeśli teraz rozpieprzę się gdzieś po drodze.*

Wtedy w świetle reflektorów ujrzałem psią mordkę. Wyłoniła się znikąd, tuż przed maską samochodu. Wściekłe przekleństwo wyrwało się odruchowo z moich ust. Nie miałem choćby cienia szansy na wciśnięcie hamulca. Usłyszałem trzask pękającego zderzaka, pojazd zatańczył niezgrabnie, jakbym jechał nie wąską asfaltową uliczką, a leśną ścieżką pełną zdradzieckich wybojów.

Auto toczyło się jeszcze dobre kilkadziesiąt metrów, nim otrząsnąłem się na tyle, by je zatrzymać. Szarpnąłem drążkiem skrzyni biegów, odwróciłem głowę i zacząłem cofać. Utkwiłem wzrok w jasnej plamie, odznaczającej się wyraźnie na tle wszechogarniającej ciemności.

Wysiadłem, stawiając czoła listopadowej nocy. Podstępnie wsunęła swoje lodowate dłonie pod materiał kurtki.

Ale pizgawica...

Klęknąłem przy nieruchomym ciele zwierzaka. Przesiąknięte wilgocią powietrze zawibrowało od grzmotu. Błyskawica przecięła niebo i rozświetliła okolicę, abym mógł wyraźnie zobaczyć skutki niespodziewanego spotkania z niedużym labradorem – zbroczony purpurą pyszczek i przetrąconą przednią łapę; nadal oddychał, choć pod skórą rysował się kontur potwornie pogruchotanych żeber. Krwotok wewnętrzny wykończyłby go w przeciągu kilku minut.

Ale najgorsze były jego oczy... To na wpół przerażone, na wpół obojętne spojrzenie, pełne dojmującej beznadziei. Jak u byka przekraczającego właśnie drzwi rzeźni.

Już wiedział.

Mokre kosmyki włosów chłostały mnie po twarzy, targane szalejącym wiatrem, gdy pochyliłem się nad dogorywającym psiakiem. Chwytając go za szyję, musnąłem palcami obrożę. Mimowolnie sięgnąłem myślami wstecz. Znów byłem tylko płaczącym dzieckiem, z nosem przyklejonym do brudnej szyby, patrzącym bezradnie na ojca, jak ten – ze strzelbą na ramieniu – prowadzi za dom moje biało-rude sześćdziesiąt kilogramów bezwarunkowej miłości.

Szarpnąłem. Kolejny grzmot litościwie zagłuszył ciche chrupnięcie. *Niewiedza będzie lepsza*, wyszeptałem, otwierając bagażnik.

Uliczne latarnie zamigotały mdłym światłem, oświetlając ciało leżącej wewnątrz kobiety. Wciąż wyglądała uroczo, mimo rozmazanego tuszu i strumienia smarków cieknącego po zaklejonych taśmą ustach. Otarła nadgarstki aż do krwi, próbując wyplątać się z krępującego ją sznura.

Widziałem, że nie pogodziła się jeszcze z nieuniknionym. Jej oczy były inne – one wciąż błagały mnie o szansę.

Dziwka... Zasłużyłaś na wszystko, co cię dzisiaj spotka.

Ostrożnie ułożyłem psa w bagażniku i zatrzasnąłem klapę.

W kilka chwil zostawiłem pogrążoną we śnie ulicę daleko za sobą. Nawet nie zauważyłem, kiedy burza ustąpiła miejsca szemrzącej delikatnie mżawce.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Maru, dodano 13.10.2017 10:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.